

— Musisz jechać tam, skąd przybywasz, nie mówić o mnie nikomu — rozumiesz — nikomu i...

— I...

— I zapomnieć o mnie, zapomnieć! — kończył.

— Zapomnieć!... Podły!... podły!... nikczemny!... zawołała rozpaczliwie, wyrzucając z ust słowa, które po raz pierwszy może zrodziły się w jej duszy.

— Podły!... powtórzyła raz jeszcze i, ukrywając twarz w dłoniach, runęła bez zmysłów na grób matki...

Gdy do przytomności przyszła — ujrzała wokół siebie pustkę i ciemność.

— Był-że to sen? — zbierała myśli, kojarzące się w nieładzie — był-że to sen? widziadło? przywidzenie?... — pytała siebie...

A wicher, by zawrotną falą ciągle miotany, wkładał jej w uszy złowrogi zimny okrzyk:

— „Na tym grobie otuchy szukałem — nie utrapię.“

A ona powtarzała te słowa, jak echo — bo wszak i ona otuchę na mogile matki znaleźć chciała.

Migawki teatralne.

Biedna ta operetka!... Znęca się nad nią, kto „z kraja“: i muzyk, co to skończywszy dwa miesiące we Wiedniu „pod konserwatorium“, obecnie w pocie czoła „siedzeniem“ (wyrażenie ś. p. Mikulego) komponuje płody reminiscencji — i dyktant, który raz w życiu nawet popełnił sam „nieśmiertelną jednodniówkę“ operetkową w trzech aktach — i różni inni „purytanie“ obyczajowi, piorunujący w pismach na operetkę, a propagujący w życiu — tingle!...

I niby ta operetka, usuwająca się już tą swoją małą wartością, niegodną, mianą prawdziwej „sztuki“, z pod poważnej krytyki — ciągle stanowi żer pożądany dla onych wielkich augurów — Kalchasów!...

A to muzyka banalna, a to treść niemożliwa, a to styl za słaby, a to, a owo — a mimo to piszą i piszą, aż im pióro pryska... ale sami nie



Karolina Kliszewska.

ugryzą nawet i takich kompozycji, jak te operetki, nie mówiąc już o osiągnięciu takich sukcesów, podobnej popularności, jaką zdobyły sobie „Wesoła dwójka“, „Słodką dziewczyną“ i inne te „wykłe“ a odsądzone od czci utwory „nie nie wartych kompozytorów“...

O cóż idzie?... Operetka niema pretensji do wielkości; — czy nie byłoby więc słuszną rzeczą osądzać ją lekko, pobłażliwie — a nie wyłazić na wysokiego konia, z którego nawet źle się wydaje niejedna mucha krytyczna?...

Wiedeń — a jeszcześmy mu nie dorośli... ma osobną miarę do oceny rzeczy małej wartości, i dlatego szuka w operetce nie głębokości Bacha, nie wytworności Szopena, ani ogromu Meyerbeera — ale powiada: muzyka miła, libretto mniej czy więcej zabawne... i koniec!...

My jednak — my wielcy — znakomici przeważnie tylko w odsądzaniu drugich... w znęcaniu się nad charłactwem nawet — my inaczej!

Na złość przecie fałszywym prorokom świętoszkostwa — publiczność szeroka chodzi na operetki, bawi się wybornie, nie wymaga nic nad możliwość i poziom „wielkości“, na której lekka stanęła Muza — i operetka stanowi bądź co bądź najpoważniejsze źródło dochodów teatru lwowskiego.

Nie ujmując dramatowi jego pierwszorzędного znaczenia i nie usuwając opery na drugi plan — nie przestaniemy jednak twierdzić stanowczo, że „niezepsuty“ nie zepsuje się na operetce — a w każdym razie zabawi po ciężkich mozolach życia powszedniego...

Dajemy dziś podobiznę jednej z najznakomitszych przedstawicielek tej „wesołej Muzy“ — p. Kliszewską. Znać ją wszyscy; zna ją Kraków, Lwów i Warszawa — zawdzięczacie jej niejedną serdecznie przyjemną chwilę zabawy — a truciznę można zażyć na pewnik, że mniej zgorszenia zaszczyliły w społeczeństwie naszym jej lekkie piosenki — niż... (arcydzieło zapewne!) „Złote runo“ — dramat poważny!...

Nie przesadzajmy panowie!... Miara we wszystkim — a nie pozować!... Wszystkiego potroszę nie zawadzi...
Nowościarz.

TAJEMNICZA WILLA

(Z opowiadań włamywacza na tle prawdziwych zdarzeń).

Z angielskiego przełożył
KAZIMIERZ E.

(Ciąg dalszy)

— Trudno sprzeczać się z głupcem! — odparł niecierpliwie starzec — ale trudno, gmin zawsze jest i nieoświecony i uparty! Gdybyś pan był człowiekiem wykształconym, dałbyś sobie z pewnością wytłumaczyć całą sprawę i poznałbyś, jak błędni i głupiemi są twoje zapatrywania!

— Pan daruje, ale ja ukończyłem akademickie studia, więc mogę chyba zaliczać się do wykształconych! — odpowiedziałem nieco obrażony tem lekceważeniem ze strony mojego towarzysza.

— Skończyłeś pan studia akademickie? — zapytał mnie żywo starzec — o! więc w takim razie jestem niezmiernie ciekaw, co pana sprowadziło na drogę tak pospolitych zbrodni, jak kradzieże i rozboje. Czy nie mógłbyś pan opowiedzieć mi swej historii?

Spojrzałem w jego oczy błyszczące ciekawością i pomyślałem sobie, że chyba to mi nic a nic nie zaszkodzi, jeśli ten tajemniczy starzec pozna dzieje mojego żywota.

Byłem w jego rękach. Lepiej więc było spełnić takie drobne żądanie jego, niż pokrywać tajemnicą to, co ostatecznie mógłby się i bezemnie skądinąd dowiedzieć.

Bez wahania więc zacząłem mu opowiadać.

— Należałem do bardzo uzdolnionych dzieci i dlatego mój ojciec, który był bardzo zamożnym człowiekiem, nie szczędził wcale kosztów na moje wykształcenie. Uczyłem się chętnie i łatwo, a co więcej miałem zapał do nauki i wielką żądzę zdobyć prawdziwej wiedzy. Ale nie trwało to długo. Ojciec, zaślepiony we mnie, dawał mi dużo pieniędzy i te pieniądze były przyczyną mojej zguby. Wpadłem w złe towarzystwo młodych ludzi, choć swoją drogą starszych odemnie. Pan wiesz, co zwykle dzieje się w takich wypadkach. Rozrzuciłem pieniądze garściami na wszystkie strony, a ojciec zamiast zapobiedz mym wybrykom, dawał mi wszystko, czego tylko od niego zażądałem. W tra-

kie tego zaskoczyła go śmierć i ja zostałem spadkobiercą wcale znacznego majątku. Teraz już nie miałem żadnego hamulca, nie krępowały mnie żadne względy. W krótkim czasie strwoniłem cały majątek, bo nie zadawałem się wydawaniem samych procentów, lecz traciłem i kapitały. Pewnego poranku byłem zrujnowany, nie miałem złamanego szeląga w kieszeni...

Zacząłem robić długi. Przychodziło mi to z łatwością tem bardziej, że ludzie nie wiedzieli jeszcze o istotnej prawdzie, o tem, że pożyczka, nie mając najmniejszej perspektywy oddania zaciągniętych pożyczek. Ale długo tak przecie żyć nie mogłem. Dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie. Wkońcu ludzie poznali się na mojem położeniu.

Osiadłem na lodzie. Do pracy brać się nie chciałem i nie mogłem, tak byłem od niej odwy czajony, a żyć chciałem i to żyć dobrze.

Starzejąc się tak ze szczybla na szczybel, gdy uczciwi i porządni ludzie zaczęli obracać się do mnie plecami, szukałem znajomości wśród szeregu tych indywiduów, których egzystencja jest bardzo niewyraźna, którzy są w niemałym kłopotcie, jeśli ich ktoś zapyta o źródła dochodów.

Jeden z tych moich nowych znajomych szczególnie mi przypadł do smaku. Średnio wykształcony i bardzo czytany, umiał — jak to mówią — znaleźć się elegancko, posiadał dobre ułożenie. To też niemało zdziwiłem się, kiedy po lepszym naszem zapoznaniu się, oświadczył mi wprost, że jest włamywaczem. Byłem bez pieniędzy, więc gdy pewnego razu zaproponował mi udział w swojej „robocie“, przyjąłem go bez wahania. Cała moja rola w tej wyprawie ograniczyć się miała na pilnowanie i śledzeniu kręcących się po ulicy przechodniów. Zapewne niezbyt dobrze wywiązałem się z mego zadania, skoro zauważono nas. Towarzysz mój dobrze obeznany z miejscowością i przyzwyczajony do niespodzianek ze strony policyi zdołał uciec, ja zostałem złapany i jako włamywacz skazany na dwa lata ciężkiego więzienia!

Skończywszy to opowiadanie, westchnąłem głęboko z żalu za utracą bezpowrotnie młodością, której tak źle użyłem.

Starzec przysłuchiwał mi się z wielką uwagą,

a gdy przestałem mówić, powstał z fotelu i kładąc mi rękę na ramieniu, odezwał się:

— Słuchaj pan! Słowem honoru zaręczam panu, że ci ludzie, których zwłoki pan widziałeś, nie padli wcale ofiarą transfuzji!...

— To mi w zupełności wystarczy! — odpowiedziałem spokojnie.

— Jeśli tak jest istotnie, to teraz zapytam pana, czy zechce pan przyjąć mój warunek?...

— Tak! ale wtedy dopiero, gdy mi pan pod przysięgą zaręczysz, że nie tylko życiem tego nie przepłacę, ale, że nie poniosę nawet najmniejszego szwanku na zdrowiu!

— Więc przysięgam panu, że nie przepłaci pan ani życiem ani zdrowiem tej operacji! Jesteś pan bardzo silny i posiadasz tak ogromny zapas krwi, że mały jej ubytek wcale panu zaszkodzić nie może! A w dodatku pomyśl pan tylko, że poświęcisz się dla szlachetnego celu: ratujesz życie bliźniemu!...

Już byłem skłonny do przyjęcia jego warunku, ale ciekawość i chęć dowiedzenia się wszystkiego jak najokładniej, paliła mnie jeszcze,

— A ile człowiek krwi posiada? — zapytałem ciekawie.

— Hm! — odezwał się starzec — normalny człowiek posiada zwykle tyle krwi, ile waży trzynasta część całego jego ciała... Pan masz mniej więcej około stu pięćdziesięciu do stu siedemdziesięciu funtów wagi, więc powinieneś mieć do trzy-nastu funtów krwi...

— Dobrze, a ileżby jej pan za każdym razem potrzebował?

— No! najwyżej pół funta!...

— Wytrzymałbym zatem tylko dwadzieścia sześć takich operacji, a potem musiałbym się pożegnać z tym światem!...

— Dlaczegoż to?.. Wszak między jedną a drugą operacją upłynie tyle czasu, że natura tę chwilową stratę pokryje, jeśli tylko będziesz się pan dobrze odżywiać, a ja ręczę panu, że na niczem nie będzie zbywać ci tutaj!...

— A — szepnąłem półgłosem — więc w takim razie ja będę musiał przez dłuższy czas być pańskim gościem!...

C. d. n.